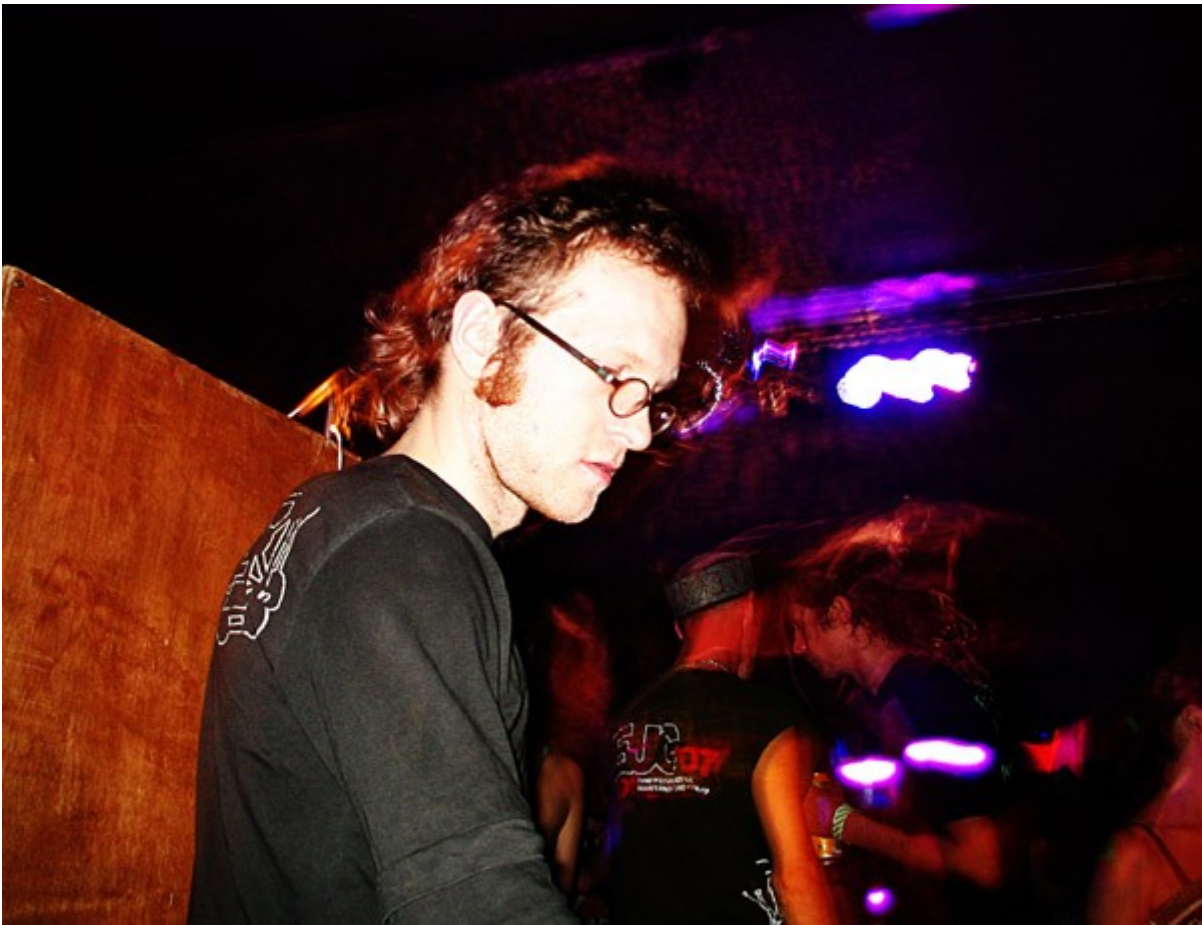


/TO MIASTO OTWIERA GŁOWĘ

TEKST I FOTOGRAFIE: MARCIN PINIAK

Zaczyna się zwyczajnie - jedziesz pociągiem, masz walkmana na uszach i widzisz rytm słupów trakcyjnych za oknem. Są takie momenty kiedy to tworzy całość. Ta muzyka, której słuchasz i ten ciąg obrazów. Jedność. Myślisz sobie - jak teledysk - wystarczy to nakręcić i połączyć z muzyką...



Łukasz Boros - 28 letni Visual Jockey, czyli artysta zajmujący się oprawą wizualną imprez klubowych. Absolwent wydziału architektury gdańskiej Politechniki. Ponad trzy lata w Londynie. Czas kompromisów pomiędzy pasją a zarabianiem pieniędzy. W końcu postanowił zostawić bezpieczną posadę w biurze i zająć się jedynie VJ-owaniem. Wykorzystaniem czasu swojego życia na swoich warunkach. Jako Visualchemy zaprezentować innym ludziom to, co czuje naprawdę, podzielić się swoją wizją świata, pasją i radością.

Jadąc na rozmowę z Łukaszem słuchałem muzyki. Szczególnie zapadł mi w pamięć fragment tekstu bydgoskiego zespołu Variete:

*W kawiarniach jądra burzy
bez wiatru i gniewu
w kawiarniach jądra burzy
bez wiatru i siły
wraki okrętów i chmur
które nigdy nie wypłynęły*

Wizja

Na czwartym roku architektury poczułem, że to jednak nie jest to, co chcę robić w życiu. Zawsze mnie ciągnęło do efektów specjalnych, wirtualnej rzeczywistości, do rzeczy wizualnych. Jednocześnie zrozumiałem, że chodzi także o pokazanie czegoś, co odbije się echem w świadomości. Stworzenie czegoś, co ludziom przypomni o czymś istotnym. Zmusi do zadawania pytań. W marzeniach wszystko wygląda dobrze.

W marzeniach nie ma dylematów. Są czyste, wyidealizowane. Potem zaczyna się myślenie analityczne - czy się uda i tak dalej. Strach. Wymyślanie problemów. Czy to się spodoba, czy będzie się opłacać - wszystkie tego typu straszne sprawy. Tak naprawdę to nie jest istotne - jak już zaczynasz to robić są to sprawy drugorzędne. Na początku, to było coś na zasadzie drogiego hobby. A do tego praca na półtorej etatu.

Jeden etat dla pieniędzy, a reszta to praca przy wizualach. Z czasem zaczynasz inwestować, kupujesz lepszy komputer, spędzasz przy tym coraz więcej czasu. To wciąga. Póki co, wszystkie imprezy, na których pracuję to współpraca z niezależnymi artystami, ludźmi, którzy sami mają ograniczone budżety. To jest robienie niezłego show za siedemdziesiąt, osiemdziesiąt funtów. Tyle możesz zarobić na zmywaku.

Jednak układ jest w porządku. To się musi opierać na zaufaniu. Przeważnie są to młodzi ludzie z pasją. Zapaleńcy. Oni także próbują się utrzymać z tego, co kochają. Polega to na tym, że ta praca, jest właśnie tym, co chcesz robić i wiesz, że to jest dopiero początek. To kwestia skupienia na jednej rzeczy i w pewnym momencie wymaga decyzji. Rzucenia bezpiecznej pracy, której nie lubisz, ale która daje ci zabezpieczenie.

To jest ryzyko - oprócz sztuki to też chodzenie po drabinach o siódmej rano po dziesięciu godzinach pracy. To ogrom mozolnej pracy przy komputerze. To sprzęt, na który trzeba zarobić samemu. To rozmowy, pertraktacje i próby. Dlatego niezbędny jest język angielski. To kwestia umiejętności wytłumaczenia niuansów swojej pracy. To także możliwość zajęcia stanowiska, kwestionowania i wejścia w dialog.

Pasja

Wszystko to ważne, ale dużo ważniejsze jest to, żeby po prostu lubić to, co się robi. To jest moja radość. Satysfakcja, że udało się na żywo stworzyć coś, co się podoba. Nawet jeśli to są tylko



momenty. Oczywiście fajnie jest dostać od kogoś potwierdzenie, że to jest super, ale to się rzadko zdarza.

Przeważnie jesteś gdzieś za stanowiskiem DJ-ów, gdyż to oni i muzyka są na pierwszym planie. To jest pytanie gdzie jesteśmy i jaki jest kontekst. Nie mam tu pretensji. Czasem sam nie lubię wizuali. Ponieważ sednem imprezy nie jest to, aby się gapić w ekran, to nie jest kino. Chodzi o taniec, o bycie razem. Łatwo jest zwrócić i przyciągnąć uwagę obrazem - kwestia techniki.

Jednak tego typu dominacja jednego elementu zabija całość. To jest moment wspólny dla wszystkich. To jest muzyka, taniec, obraz.

Optymalnym celem dla mnie w tej pracy jest połączenie treści z formą wyrazu. Stworzenie czegoś, co jest jednocześnie atrakcyjne i świetnie gra z muzyką, a jednocześnie przekazuje pewne formy, treści w bardzo subiektywny sposób. W ten sposób możesz dać do myślenia zestawiając dla przykładu widok ziemi z księżycą z pożarem, albo z masą ludzi. To oczywiście dosyć banalne - ale to co chcesz powiedzieć możesz pokazać na wielu różnych poziomach. To wszystko zależy, z czego budujesz te obrazy. Jakich klocków używasz i jak je zestawiasz.

Z tych samych obrazów możesz zrobić reklamę i antyreklamę. To jest kwestia operowania. Celem VJ-owania może być też wizualizowanie muzyki, pokazanie tego, czym dla Ciebie jest ta muzyka. Dla mnie jest to przygoda. Improwizacja. Nie lubię rutyny. Lubię nowe rzeczy, bardzo szybko zmieniam tematy, pomysły. Musi być w tym dynamika. I musi iść z dźwiękiem. Jest to proces, tworzenie na żywo.

Często jestem niezadowolony z tego, co robię. Kiedy widzę, że moje wizuale są nieadekwatne do tego, co się akurat dzieje w muzyce. Tak naprawdę przygotowanie klipów - krótkich filmików, z których korzystam na żywo to są często dziesiątki godzin mozolnej pracy. Choć pewnie można to też zrobić w łatwiejszy, szybszy sposób. To jest kwestia indywidualnego stylu.

Oczywiście można powiedzieć że to nie to, że pójście na łatwiznę itp. Ale to już krytyka i ocena, tak dobrze znana z Polski. A to jest osobista kwestia wyboru, gustu. Wszystko zależy od tego, w którym momencie jesteś. To, co ma znaczenie dla jednego, dla drugiego jest banałem. Ważne jest to, żeby to się broniło estetycznie. Nie było jakimś wydumany tworem, pseudo nowoczesną sztuką dla nikogo. Jednak oprócz formy trzeba mieć coś w sobie. Warsztat to jest jedno, ale potrzebne jest doświadczenie życiowe - musisz mieć coś do powiedzenia.

Sztuka, reklama i rewolucja techno

Współczesne imprezy tego typu są pewną próbą powrotu do korzeni, do transu - tak jak cały ruch archaic revival, którego elementem była „rewolucja techno”. W takich imprezach nie chodzi o szpan, prężenie mięśni czy o poderwanie dziewczyny. Chodzi o muzykę, o bycie razem, kontakt ze swoim ciałem plus oczywiście masą kosmicznych narkotyków. Bo ten ruch nie powstałby, gdyby nie ekstazy a wcześniej w latach sześćdziesiątych LSD. Bez substancji zmieniających świadomość nie byłoby takiej rewolucji.

Jednocześnie już na poziomie samego tańca, dochodzi do zatrzymania analitycznego procesu myślenia, którym jesteśmy zazwyczaj pochłonięci. Taniec staje się formą medytacji. Wiem, że takie bardziej duchowe podejście jest jak najbardziej możliwe. Oczywiście to się rzadko dzieje w klubach komercyjnych, gdyż one są nastawione na konsumpcję, ucieczkę od rzeczywistości i zysk. Scena to duży biznes.

Nie zrobiłbym imprezy, na której podczas swojego setu wyświetlam reklamę - logo sponsora - powiedzmy producenta jakiejś wódki, czy innej korporacji. Niektórzy tak robią - można na tym nieźle zarobić - „można też sprzedawać heroinę dzieciom” jak ktoś to dosadnie skomentował na forum VJskim. Przesada, ale coś w tym jest - to wykorzystywanie ludzkiego otwarcia, pewnego rodzaju bezbronności do uwarunkowania od produktu, wrzucania w głowę jakiejś papki reklamowej, negatywnego programowania.

To jest zawłaszczanie pierwotnego stanu. Stanu miłości, empatii i otwarcia na innego człowieka. Dla mnie to jest bycie po złej stronie mocy. Mówią że dziś sztuka przeplata się z komercją. Z jednej strony masz dla przykładu dzieło filmowe, a z drugiej product placement, który jest zwykłą reklamą. Pytanie brzmi: czy robisz reklamówkę, czy robisz film? Ja nie wierzę w tego typu formy mieszane. To bardziej wynika z potrzeb biznesu niż ze sztuki. Chodzi o główną intencję tego, co robisz.

Miejsce

Wcześniej byłem w Stanach i zrozumiałem, że to nic takiego gdzieś wyjechać. Rozgryzanie nowego systemu jest fascynujące. Zmiana. Układanie sobie życia na nowo w zupełnie innych warunkach. Przyjechałem jeszcze przed Unią. To był pomysł Ani, mojej dziewczyny.

Półroczny program 'Au pair', nauka języka. Czemu nie - pomyślałem. W zasadzie, gdybym tu nie przyjechał, nie robiłbym tego, co robię. W pewnym sensie to miasto bardzo VJ-skie. Nowoczesny design, nasycone kolory, wszystko wizualnie dograne. Czy to są pudełka po lodach, czy światła na Picadilly Circus. Podkrecone do granic kiczu, ekspresyjne i walczące o uwagę, próbujące wybić się z masy metropolii.

Żeby zaistnieć w tak różnorodnym miejscu trzeba się określić. Kim naprawdę jesteś? Na czym ci zależy? Londyn to nie jest miasto półśrodków.

To miasto otwiera głowę.

PARADYZINE.WORDPRESS.COM